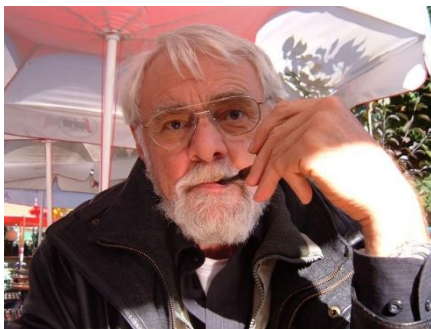


Zamyślenia



Fot. Andrzej Dębkowski

Zaduszki

*A rok znów obrócił się na swych zawia-
sach w stronę listopada. To miesiąc zakłóce-
nia światła i Święta Zmarłych, i tu uświada-
miam sobie wyraziściej, iż jesteśmy tylko
tymczasowo na tym świecie i że część na-
szego życia znów minęła. Właśnie w tych
dniach może bardziej, niż na przelomie sta-
rego i nowego roku. Przez serce przewieje
okrutny wiatr i deszcz ze śniegiem i znów po-
żałujemy, że nie pojechalibyśmy w te dni do
Starego Kraju, gdzie tak bardzo uroczyście
obchodzi się od wieków owe wspominkowe
dni.*

Kazimierz Iwosse

Kłopotliwy to czas na tego rodzaju po-
dróżę stąd aż tam, ale i tu na obczyźnie, zanu-
rzymy się w ten obłądny taniec odejść z tego
świata naszych bliskich. Jest pewne, że zapa-
limy świecę na jakimś niemieckim cmentarzu,
podumamy nad przemijaniem i nie pozosta-
nie nam nic w pamięci, poza mową obcych
szarf i napisów na bryłowatych nagrobkach,
jakże innych od tych naszych, polskich.

Różnie przebiegają drogi ku naszym gro-
bom, ku tym opłaconym, małym parcelkom.
Zdarza się, że są pośród nas ludzie, którzy po-
gubili adresy cmentarzy, gdzie spoczywają
prochy ich bliskich. Zapomnieli, że był ktoś
kiedyś obok nich, kto odszedł. Tacy ludzie nie
myślą w te zaduszkowe dni jak my, nie są
zdolni przywoływać imion zmarłych. A ci
ukryci niczym krety, nie odwiedzani, będą za-
rastać trawą niepamięci. Biedni, zapomniani
nieobecni. Niektórzy uważają, że przecho-
dzimy przez różne życia, że niektóre z nich to
ich własne i że nie są już tym, kim byli, choć
uważają, iż istnieją pewne zasady trwania, z
którymi się utożsamiają. Reinkarnacja. Może i
tak. A ja patrzę, jak umierają jednoroczne ro-
śliny, jak ogołacają się drzewa z liści, chudną
krzewy. Wkrótce ruszą ostre sierpy przy-
mrozków. Listopad... zaduszkowy czas.

Wczoraj widziałem jakieś dziwne, odlatu-
jące ptaki. Spóźnione? Nawet młode dziew-
częta na ulicach mają dziwne zamyśnione spoj-
rzenia, choć daleko im jeszcze do rozpoczęcia
praktyki starzenia się, odchodzenia od urody

młodości. Jesienny lament felietonisty, który
już nie wyprostuje jedwabnej kruchości
swych skrzydeł. Należy przespać zbliżające
się chłody, czekając na pocałunki słońca też
chłodne, zimne, jesiennie.

Nie wpadłbym w tak minorowy nastrój,
gdybym ostatnio nie odwiedził terenów po-
obozowych jeńców wojennych w Łambinowi-
cach-Opolu (Lamsdorfu, mówiąc innym języ-
kiem w tym miejscu Europy). To największe
cmentarzysko świata sięgające swoją historią
lat 70-tych ubiegłego stulecia. To czasy wojen:
prusko-francuskiej (1870-1871), pierwszej
wojny światowej, drugiej wojny światowej i
owej tragicznej daty 1945-1946, stanowiący
w tym miejscu jeden ogromny obóz pracy.
Liczba pochowanych tu ludzi – krzyczy. I w
tym obozie, tamtego dnia rozpiął się w tym
miejscu mój ból i krzyk owiany jesiennym
smutkiem, który przywiozłem aż tu ze sobą z
mojej ojczyzny. Mieszają mi się do dziś nazwy
oflagów, stalagów. Limburg, Dorsten, Arns-
walde, Waldenberg, Altengrabow. Świat za
drutami, śmierć za drutami. Matka Boska Sta-
lagów za drutami. „Nie szukaj naszych gro-
bów, nam trumien nie dano” – pisał obozowy
poeta. Jeniecki sonet. Hańba złego wieku. Bez
nazwisk i bez imion, znaczeni numerami ode-
szli, niczym ścinane sosny na porębie. Tysiące
ich było, a wszyscy owinięci w ciszę. W ciszę?
Nie, przecież słyszę: „Stan in der Stube vie-
rundzwanzig...” i jeszcze: „Obecnych w baraku
przesiedleńców siedemdziesiąt trzy”... I słyszę
inne głosy, słowa wymawiane po francusku,
angielsku, czesku, rosyjsku, rumumuńsku,
węgiersku...

Zadrutowany czas. Słowa i czas wydzio-
rane z tamtego powietrza, rozdarte, strzę-
piące się, zanikające gdzieś w dali. Zaduszki
przełomu wieku, zaduszki na progu nowego
tysiąclecia, wiemy...

A dziś ta wojna na naszymi drzwiami. I ty-
siące nowych ofiar. Co się z nami porobiło, do
diabła? Kiedyś były słowa, teraz już nie ma na-
wet słów. Dziwne, ale dla mnie wszystko
dzieje się jakby w odwrotnym kierunku, jakby
cały ten straszny film o naszym zwiariowanym
świecie puszczono od końca. Dlaczego chodzi
ciągle o ten nasz sens i bezsens naszego istnie-
nia?

Umierajmy cicho i nie mąćmy spokoju już
umarłym...

Tadeusz
Zawadowski

bez przebaczenia

zapomniałem co to przebaczenie. wszędzie
widzę wałęsające się watahy bestii
rozpruwających
wnętrza domów rabujących i gwałcących. ich
roześmiane
twarze gdy uda się trafić kulą w środek
czoła przestraszonego dziecka. nocami
zamiast w sen wślizguję się w marzenia
i podążam
śladami morderców. mnożę ich truchła.
sprawiedliwie.
jedno za jedno. to jednak nie pomaga.
i tak każde przebudzenie kończy się

krzykiem.

powrót do domu

powoli. już blisko. najpierw drogą obok
kapliczki w której kiedyś ukrzyżowano
Boga. później w prawo gdzie zarys
domu przebija niebo. teraz
po schodach trzymając się
poręczy. tylko nie ma już
domu. tylko nie ma już Boga

i powrotu.

liczby pojedyncze

coraz bardziej przyzwyczajam się do liczb
pojedynczych.
samotny w pustym pokoju w którym
brakuje okien i drzwi. żony którą wczoraj
zabito w drodze do pracy. syna z którym
od dwóch tygodni spotykam się
na pobliskim cmentarzu. zostałem sam.
patrzę w miejsce po oknie. widzę tylko
samotnego

ptaka.

zabawy z czasem

świat się kurczy. to co było dalekie stało się
na wyciągnięcie ręki. właściwie
na długość lufy karabinu lub zasięg
rozprysku bomby kasetonowej. nigdy
nie przypuszczałem że stare demony
mogą ponownie wejść w nasze sny.
ciągle nie potrafię uwierzyć że można bawić
się
czasem jak zepsutym zegarkiem i przenikać
przez jego tarczę w stare rany

i blizny.

